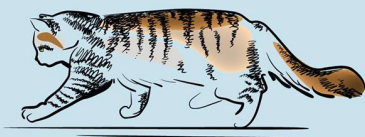


KONRAD J. PIWOWARCZYK

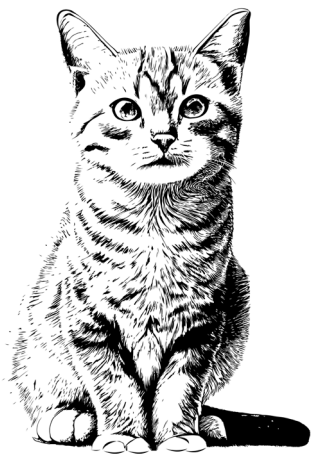
**MORSKA
PRZYGODA
ARGUSA HOMERA
I JEGO KOTA
MUSSY**



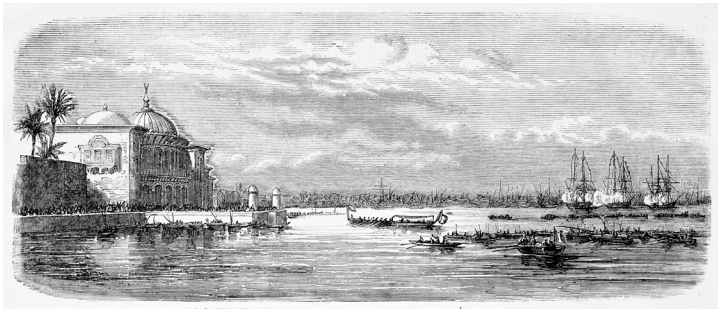
KONRAD J. PIWOWARCZYK

Morska przygoda
Argusa Homera i jego kota Mussy

Ateny 2024



Dla Zuri, życząc jej wielkich przygód.



Aleksandria, Księstwo Egiptu, maj 1890 r.

MUSSA

Ciemnozielone ściany gabinetu profesora Argusa wydawały się w wąłym świetle lampy niemal czarne. Na mahoniowym biurku, tak małym, że mieścił się na nim jedynie brulion, kałamarz, przycisk do papieru oraz chińska kadzielnica, leżały idealnie poukładane papiery i pióra. Tuż przy balkonie, w dużej attyckiej amforze tkwiła sucha gałąź z drzewa jakarandy, które rosnęło za oknami. Argus uwielbiał to drzewo, od zawsze uważając je za największy atut swojego maleńkiego mieszkania w aleksandryjskim porcie. Co roku wraz z początkiem maja, jakaranda pokrywała się bławatnymi kwiatami, przy których czarne gałęzie wyglądały jak poszarpane skały wylaniające się złowrogo z łagodnej, błękitnej toni morza. Argus bardziej niż to drzewo kochał tylko morze.

Świtało. Na balkon wdrapał się niezdarnie gruby egipski Mau. Mimo opasłego brzucha, kot miał dobrze umięśnione ciało, tylne łapy trochę dłuższe od przednich, dużą klinowatą głowę. Szeroko rozstawione uszy przyozdobione były kępkami włosów na czubkach, a wielkie oczy w odcieniu agrestowej zieleni przedłużone były czarnymi liniami, które sprawiały wrażenie makijażu. Budową przypominał małego geparda, na

całym ciele miał cętki i to nie tylko na futrze jak większość znanych Argusowi kotów, ale także na skórze. Na czole, niczym tatuaż widniał charakterystyczny symbol litery M, przypominający skarabeusza. Kot położył upolowaną zdobycz pod balkonowymi drzwiami, po czym leniwie rozwalił cętkowane ciało wśród opadłych kwiatów i zasnął upojony ich modrym błękitem.

Mieszkańcy portowej dzielnicy znali Muszę głównie z tego, że podkradał rybakom sardynki, których nie dojadał, porzucając rybnie szczątki gdzie popadnie. Dla większości miejscowych był to po prostu “Mau”, co w języku egipskim znaczy tyle, co “kot”. Kucharze z portowych barów wołali na niego “Samin”, co po arabsku znaczy “Grubasek”. Stary Żyd Icchak, właściciel małego kantoru, raz w tygodniu podsuwał Mussie resztki szabasowej kolacji; czy zdarzył się kuskus z kurczakiem, czy drobiowa wątróbka, Icchak przyzywał kota słowami “chodź, chodź Mamuśka”, naiwnie wierząc, że Mussa jest kocicą w – najwyraźniej – nierozwiązywalnej ciąży.

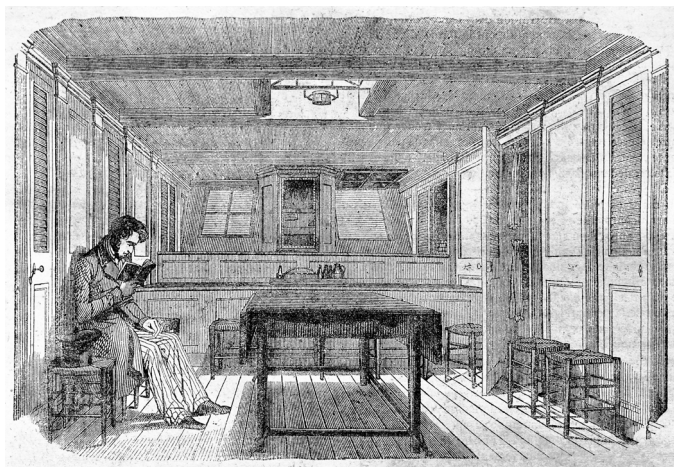
Profesor Argus nie znał jeszcze wówczas powodu, dla którego kot upodobał sobie ślamazarne, poranne wspinaczki na jego właśnie balkon. Opowiedziana mu przez egipskich rybaków historia, opowiedzianą z powagą, wręcz namaszczeniem na jakie zasługiwałyby conajmniej prastary mit o początkach świata, głosiła, że Mussa jako małeńkie kocię, znaleziony został na brzegu niedługo po tym, jak w pobliżu Aleksandryjskiego portu zaginęła bez wieści rybacka łódź z karmiącą kotką na pokładzie.



Wśród wyrzuconych przez morze po sztormowej nocy szczątków łodzi, ktoś znalazł wystraszone i ledwie żywe kocię. Odratowany Mussa dorastał w porcie pozostawiony samemu sobie. Choć nie stronił od ludzi, zachował dziką i niezależną naturę. Należało z nim postępować ostrożnie i z rozwagą, potrafił bowiem nagle ugryźć, albo przynajmniej poważnie podrapać tego, kto naruszyłby jego spokój. Choć najczęściej kradł, czasem coś upolował. Tego poranka podzielił się zdobyczą z profesorem Argusem, któremu myśl o martwym ptaku za oknem nie dawała spokoju. Niezdarnym ruchem wygramolił się z łóżka i uchylił balkon. Kot spojrzął z lekkim, sennym jeszcze otępieniem, zmrużył ślepią, po czym przeciągając się wydał z siebie mrukiwe “nareszcie”. Kiedy profesor zajęty był upewnianiem się, czy porzucony na balkonie ptak jest w istocie martwy, czy może tylko ranny, Mussa wśliznął się do pokoju i jakby miał wbudowany kompas, który wskazuje miejsce dla kota najwygodniejsze, bezceremonialnie wskoczył do otwartej, pedantycznie spakowanej walizki i ponownie zasnął. Było coś nonszalanckiego i dzikiego w usposobieniu tego kota i choć można by słusznie zauważyć, że taka jest przecież kocia natura, dumna i zdystansowana, dzika i łowcza, to nie było to, to było coś więcej, coś bardziej pierwotnego i wyzwolonego. Ludzie zwykli nazywać to wolnością.

ARGUS

Ponieważ niektórzy mają w zwyczaju narzekać, że “umierają” kiedy dolega im coś, czego zdiagnozować nie potrafią, tak i Argus kładł się codziennie spać z myślą, że może już się nie obudzić. Nie obawiał się jednak samej śmierci ani tego, czy umrze w bólach. Martwiło go to, że nie będzie mu dane po sobie posprzątać, że pozostawi światu w spadku bałagan, który nie przystoi tak porządnemu człowiekowi, za jakiego się uważał. Myślał o tym często, choć dobiegał dopiero pięćdziesiątki i cieszył się raczej dobrym zdrowiem.



Co prawda na piersi odkrył niewielkie znamię, jednak nie budziło ono jego głębszych obaw. Co i rusz pojawiał się gdzieś jakiś siniak, ale skoro znane były przyczyny wszelkich dolegliwości Argus nie trwonił czasu na zbędne diagnozy, a lekarzy unikał jak ognia. Bóle w piersi tłumaczył zbyt chętnie paloną fajką. Z resztą wszelkie jego dolegliwości doskonale kołło morze. Argusowi trudno było ocenić, na ile jego psychiczny stan określono by fachowo jako ciężki, czuł jednak w kościach, że nie pozostało mu wystarczająco czasu, by zgadywać, czy to, co się z nim dzieje, jest w ogóle uleczalne. Problem był zatrwająący: Argus rozmawiał z Mussą... Tak zwyczajnie, po ludzku, odbywał z kotem długie filozoficzne rozmowy. Najczęściej prowokował je sam kot, pojawiając się na balkonie profesora, tak jak dziś, bez zaproszenia. Argus nigdy nikomu się do tego nie przyznał, wciąż gdzieś w duchu wierząc, że może mu się tylko wydaje. Najbardziej jednak przerażająca była myśl, że ludzie będą o nim plotkować, będą mówić, że gada z kotami, ale już samo to, że w ogóle będą się nim zanadto interesować było wystarczającym powodem, by zachować tak ważką kwestię jedynie dla siebie.

SUHEL

Smukła sylwetka, silne ramiona, ogorzała od słońca skóra i tajemnicze oczy, zawsze utkwione w jakiś jeden, niewidzialny dla innych punkt. Tak Argus zapamiętał kapitana Suhela, po tym jak zobaczył go po raz pierwszy. Uśmiechnął się wtedy w duchu i pomyślał, że bardziej na marynarza wyglądać już się chyba nie da. Choć Suhel pochodził z Syrii, z jakiegoś bliżej tylko sobie znanego powodu miał w zwyczaju mawiać, że jest Algierczykiem. Nikt nie wydawał się tym faktem zdziwiony ani tym bardziej nie śmiał poddawać kapitańskich słów w wątpliwość. Nawet algierscy majtkowie, którzy przetaczali się przez jego okręty, wierzyli, że jest ich pobratymcą. Kapitan cieszył się powszechnym szacunkiem, lecz jak o każdym człowieku z charyzmą, któremu życie wręczyło stery władzy, tak i o nim krążyły w żeglarskim świecie rozmaite plotki i pogłoski. Zarzewiem ich zdawała się być jedna, szczególnie opowieść, dla niektórych historia prawdziwa, dla innych zwykła bajka, jakoby niegdyś zmuszony został przez rozszłoszczonych bogów do ratowania się przed śmiercią głodową na morzu spożywając swojego pierwszego oficera. Było w tym istotnie ziarno prawdy, ale nie o tym jest nasza historia.

Kapitan stał przy rampie swojego okrętu podpisując dokumenty, z przesadną dokładnością sprawdzając pakunki i rachunki, te ostatnie bardzo niechętnie płacąc, gdy nagle w oddali zamigotała mu znajoma sylwetka Argusa. Profesor co krok spoglądał za siebie nerwowo sprawdzając, czy dwaj mali, arabscy chłopcy wciąż ciągną skrzynię i walizkę, jednak dbał nie tyle o bagaż, co o same dzieciaki, zdając sobie sprawę z tego, że starogrecka literatura, która zajmowała znaczną część skrzyni i prawie połowę walizki, waży ze trzy razy tyle, co te dwa wychudzone szkraby razem wzięte. Tuż za Argusem podążał Mussa, który niczym szpieg doskonały

w ogóle nie dawał o sobie znać, pojawiał się i znikał, gdzieś za kamieniem albo w cieniu palmy, i poza wprawnym okiem żeglarza, nikt go nie zauważył.

– Witam panie profesorze – kapitan przywitał Argusa ciepło choć zdawkowo, nie lubił bowiem gościć na swym okręcie jakichkolwiek pasażerów, choćby z racji trywialnego faktu, iż żaglowiec nie był statkiem pasażerskim. Ci, których spotkał zaszczyt odbywania podróży u boku kapitana, byli w najgorszym razie wspomnianymi majtkami pokładowymi, którzy jednak na morzu już swoje przeżyć i doświadczyć musieli, by stary wilk morski w ogóle wziął pod uwagę przygarbienie tego to, czy innego nieboraka pod swoje kapitańskie (i zawsze trochę ojcowskie) skrzydła. Argus przez blisko rok szukał “odpowiedniego” żaglowca i “właściwego” kapitana. Okazja odbycia niecodziennej podróży nadarzyła się pewnej sztormowej nocy w portowym barze, przy którejś już szklaneczce burbona. Charyzma z jaką Suhel wypowiadał się o morzu zaintrygowała Argusa, a głęboka pasja i szczerze zainteresowanie, z jakim poeta tych opowieści słuchał urzekły kapitana, który już tamtej nocy dostrzegł w duszy Argusa żeglarski zew przygody. Suhel uważał z resztą, że poetycki kunszt podobny jest żeglarskiej sztuce, a każdy żeglarz to też trochę poeta. Ich nocnym rozmowom wtórowały jękliwe i histeryczne odgłosy morza, wicher gwałcił palmy niczym proce, strach było wyjść na zewnątrz, a goście, którzy co jakiś czas wbiegali do portowego przybytku byli do ostatniej nitki przemoknięci i docierali do baru z całym wachlarzem przekleństw na ustach. Tej samej nocy zrodziła się jeszcze jedna szczególna więź, bo to nikt inny, jak właśnie kapitan Suhel, który o poranku wracał na statek, znalazł na piasku podtopione kocię. To on je przygarnął i to on nadał mu imię Mussa, które – jak wiemy z historii słynnego proroka Mojżesza, znaczy tyle, co “wydobyty z wody”.

– Witam pana, kapitanie – odparł Argus, podekscytowany spostrzeżeniem, że cały otaczający go rozgardiasz; wszyscy ci z pozoru chaotycznie i bez bliżej określonego celu biegający ludzie zachowują się zupełnie jak portowe ptactwo. Z racji tego, że przy nabrzeżu trwał właśnie wyładunek ryby, setki mew i rybitw próbowały w dzikim szaleństwie pochwycić zdobycz z kutrów. Ptaki darły się wniebogłose, wyrwały sobie ryby w powietrzu, latały na oślep, plątały się w sieci, uderzały w burty statków, wpadały na siebie i spadały do wody, zemdlone.

– Zupełnie jak ci głupi ludzie – pomyślał zdęgowany Mussa i rzucił na ptaki krótkie, złowrogie spojrzenie, zamruczał coś, po czym bardzo powoli, jak na dumnego i otyłego kota przystało, wkroczył po rampie na pokład, nawet za siebie nie spoglądając. Nie było na co patrzeć, statek należał do kapitana, który był dla niego jak ojciec, więc okręt należał również do Mussy. Poza tym, Mussa zawsze robił to, na co miał ochotę, a tego dnia miał ochotę porozmawiać z profesorem Argusem.

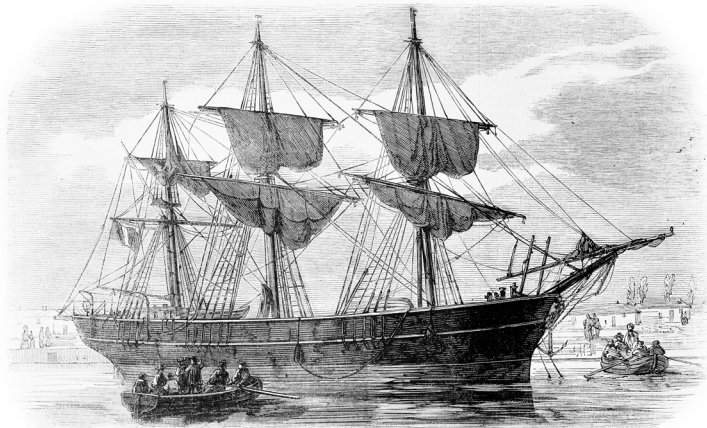
– A ty, co tu robisz grubasie – Argus nie krył zdziwienia widząc kota rozciągniętego na plecach wzdłuż koi i spoglądającego na niego do góry łbem, kiedy ten próbował wciągnąć do środka kufry z książkami.

– Ludzie i ich przytyki... nie potraficie się powstrzymać nawet kiedy zwracacie się do nas przyjaźnie. Masz szczęście, że dawno się do tego przyzwyczaiłem, miałem czas, przeżyłem już parę żyć. Kot obrócił się leniwie i wskoczył na jedną z walizek. – Nie mam czasu na twoje gierki, odparł Argus. Mów natychmiast, co tu robisz, zanim znajdziemy się na pełnym morzu i – Boże uchwaj – dostaniesz jednego ze swoich dzikich napadów, co ja zrobię, co ja powiem kapitanowi, jak on cię tu zobaczy!... Profesor chodził nerwowo po kajucie, podczas gdy kot liżał na zmianę prawą i lewą łapę, kompletnie wszystko ignorując.

– Mussa! Argus nie wytrzymał i doskoczył do kота, próbując go złapać, ten jednak w ułamku sekundy wcisnął się pomiędzy skrzynie.

– Nie podchodzi i kота nie tyka! – zapiał dramatycznie – Nie ty jeden masz powód, dla którego musisz odbyć tę podróż. Syryjczyka zostaw Mussie, Mussa go zna i sobie z nim poradzi. Kot fuknął i obraził się.

– Aaaahoj przygodo, jęknął Argus, czując że wiatr i woda przejęły właśnie stery, nie pozostawiając mu już żadnego wyboru.





– Spytałeś mnie wczoraj, kontynuował kot, dlaczego przestałem rozmawiać z ludźmi. Dziś wyruszasz w podróż wierząc, że morze pomoże ci “zrozumieć człowieka”. Może i pomoże, ale Mussa ma mało czasu, a dużo do powiedzenia. Kiedy dotarło do mnie, jak zimni, cyniczni i pozbawieni empatii są ludzie, przestałem im mówić, jak się powinni byli zachować, a już tym bardziej jak się powinni czuć. A kiedy przestajesz mówić ludziom, co naprawdę myślisz, nie ma sensu byś w ogóle się wypowiadał. Smutny, naprawdę przygnębiający znak czasów: ludzkość, jakby dotknięta jakąś duchową zarazą, utraciła poczucie empatii. Jak na ironię, większość ludzkich problemów i niesnasek bierze się z braku zrozumienia drugiego człowieka, brak zrozumienia z braku właściwej, poprawnej choćby komunikacji, a ten z kolei z nieumiejętności, tudzież niechęci wczuwania się w czyjeś położenie. Nie wspominam już nawet o czymś tak arcyważnym, jak współodczuwanie. Jeden naiwny człowiek wmówił drugiemu, że to on sam decyduje, co go w tym życiu dotyczy i co go w tym życiu dotyka. Ten człowiek zapomniał, że wszystko co dzieje się wokół niego, wszystko to go dotyczy, wszystko to jest jego częścią i on także jest częścią tego wszystkiego. Cokolwiek czyni i mówi, cokolwiek daje lub odbiera światu, ma wpływ na niego samego i ma wpływ na świat. Co więcej, on sam ten świat kreuje właśnie będąc takim a nie innym, myśląc lub nie myśląc, czyniąc i nie czyniąc. Póki ten człowiek żyje i póki jest człowiekiem, drugi człowiek zawsze będzie jego częścią, a on częścią drugiego człowieka. Także kot jest częścią człowieka, a człowiek częścią kota. Wszyscy jesteśmy połączeni.

Mussa spojrział na czarny czubek swojego ogona, poruszył nim dwukrotnie jakby sprawdzając, czy mechanizm jego ciała wciąż poprawnie funkcjonuje, zamyślił się, po czym dodał:

– Dawniej, kiedy człowiek był bliższy bogom i nie latał po tej ziemi głupio, niczym rozszalałe ptactwo za szprotem, to

człowiek pamiętał... Dziś już człowiek zapomniał, że nic nie jest ani takie, jak się człowiekowi wydaje, ani nie jest nawet tym, czym się wydaje być. Kiedy ludzie myślą o otaczającej ich rzeczywistości, widzą tylko to, co widzi ich własne ja...

A rzeczywistość nie istnieje, rzeczywistość się dopiero staje wtedy, kiedy się na nią popatrzy, kiedy się o niej pomyśli, albo się w niej choćby znajdzie. Kot otarł się parę razy o drzwi kajuty.

– Otwórz, Mussa i Argus wejdą teraz na pokład by spojrzeć w morze...

– By morze stało się rzeczywistością? – upewnił się ironicznie Argus, wypuszczając kota.

– Naszą rzeczywistością – sapnął Mussa.

Wiatr zupełnie zniecała postanowił dać im wszystkim surową lekcję potęgi żywiołu. Suhel stał na pokładzie. W milczeniu patrzył na rozgniewane morze. Argus szedł w jego stronę chwiejnym krokiem, chwytając się wszystkiego, co napotkał na drodze, by pchnięty podmuchem nie stoczyć się z pokładu jak kłoda.

– Nie oberwało jeszcze panu głowy? – krzyknął z lekkim przekąsem kapitan. – Bezpieczniej będzie schować się w kajucie, pogoda jeszcze może nas dziś zaskoczyć! W tej samej chwili, ogromna fala próbowała staranować statek z impetem, który w oczach nawet najbardziej doświadczonego żeglarza wzbudziłby niepokój.

– Niech pan się czegoś łapie! – krzyknął kapitan i przeklął. Mussa przekoziółkował parę metrów, wydając z siebie historyczny skowyt.

– Mussa! wrzasnął Argus i rzucił się kotu na ratunek.

– Mussa!? Co ty tu do diabła robisz?! – krzyknął Suhel.

Mussa podniósł się i otrząsnął, oszołomiony.

– Płynę – odparł, wyraźnie poirytowany powtarzającym się pytaniem.

– Pokład to nie miejsce dla kota!

– Niech będzie – zamamrotał kot i wcisnął się w dwa razy od siebie węższą szczelinę. Morze szarpnęło jeszcze okrętem parę razy i zaczęło się powoli uspokajać. Tymczasem z kambuza dobiegł niemiłosierny jazgot. Kucharz pokładowy uderzając chochlą w gar chodził i krzyczał “Al Easha!, Al Easha!”

– Kolacja! – ucieszył się Suhel wyciągając mokrego, przestraszonego Musę z ukrycia. Argus jednak stał wciąż nieruchomo, trzymając się kurczowo masztu, zupełnie oszołomiony.

– To pan słyszy kota!? To pan go rozumie?! – wyszeptał z niedowierzaniem.

– Czy słyszę? Jak mam nie słyszeć, toż przecie gada wyraźnie i pełnymi zdaniami. Och proszę się aż tak nie dziwić, ten kot to wielki gaduła, choć istotnie, rozmawia tylko z tymi, którzy jego zdaniem na to zasługują, albo może z tymi, którym ma coś do powiedzenia. Kiedy zobaczyłem, że podąża za panem w porcie, wiedziałem od razu, że coś jest na rzeczy. Dlaczego znalazł się tutaj, na moim okręcie zupełnie niewycieczkowym, tego nie wiem, ale znam tego kota, najwyraźniej ma swoje powody. Kapitan spojrzał na Musę i pokiwał głową jak ojciec, który choć niezbyt zadowolony, nie potrafi się już dłużej złościć na swoje dzieci.

– Głupie to takie! Co ty na Allaha robisz z nami na pełnym morzu, szalony grubasie!? – dodał drapiąc Musę pod brodą.

– Niech Syryjczyk kota nie obraża, ni bogów w to nie miesza, tylko nakarmi – wycedził kot.

Kapitan zwinnym ruchem złapał zwierzę w pól i pomaszzerował do mesy.

– On z nim rozmawia, on też, on go rozumie... – wymamrotał zdezorientowany Argus, uwalniając maszt z uścisku i podążając za nimi krokiem niepewnym, wciąż lekko chwiejnym.

DIOTYMA

Pochodząca z aleksandryjskiej rodziny greckich handlarzy bawełną Diotyma Benakis była kobietą nieprzeciętnej inteligencji i oszałamiającej urody. Powszechnie uważana za piękność, często porównywana była do mitycznej hetery Fryne, gdyż – jak mówiono – podobnie jak ona mogłaby pozować do posągu samej Afrodyty. Prócz nieskazitelnej cery, pięknych kształtów, kasztanowych, swobodnie opadających na ramiona włosów, migdałowych oczu, delikatnie rzeźbionych ust i nosa, Diotyma słynęła z powściągliwości i skromności. Oczytana i cięta, choć czasem chwiejna i lekko histeryczna, do perfekcji opanowała sztukę uwodzenia. Lepiej niż obcymi językami, angielskim, arabskim i francuskim, władała jedynie męskimi sercami. Choć do Grecji podróżowała dość często, była to jej pierwsza podróż żaglowcem. O użyczenie jej miejsca na statku wyprosił sam pan Benakis, zapewniając kapitana wielokrotnie o dozgonnej wdzięczności i oferując za tę wycieczkową usługę podejrzenie wręcz wysokie wynagrodzenie.

Kolacja, której z oczywistych powodów główną atrakcję stanowiła pani Benakis, upływała w radosnej, frywolnej atmosferze. Kapitan spoglądał na Diotymę równie często, co Mussa, który leżąc na drewnianej beczce, uważnie obserwował pasażerów, wyrażając swymi przymrużonymi ślepiami głębokie zdegustowanie wobec damsko-męskich gier, konwenansów i zalotów. Choć miałby zapewne wiele do powiedzenia na temat ludzkiego upodobania do flirtu, jego zainteresowanie wzbudzała w tej chwili jedynie ta przedziwna kobieta. Wydawała się jakby z innego świata, więc kot za wszelką cenę starał się zrozumieć, dlaczego przez całą kolację obecny tu, okrętowy świat wydaje się kręcić jedynie wokół niej. Widząc, jak marynarze się do niej przymilają i mniej lub bardziej ukradkiem jej przypatrują, jak obniżają dla niej tembr swoich głosów, jak poprawiają sobie koszule – na okoliczność jej

obecności niespotykane czyste i niemal białe – Mussa przyjął za pewnik, że pani Benakis ma na mężczyzn zgromadzonych na statku jakiś magiczny wpływ. Uwadze kota nie uszło też i to, że niektórych z nich Diotyma wydaje się onieśmielać. Argus dla przykładu prawie w ogóle się podczas kolacji nie odzywał, nic nie jadł, tylko intensywnie nad czymś rozmyślał. Dopiero gdy rozmowa zeszała na tematy duchowe, profesor jakby się ocknął.

– W dzisiejszych czasach tak trudno się kocha... to prawie niemożliwe, powiedziała pani Benakis do kapitana, patrząc jak Mussa próbuje wydłubać pazurem karalucha z dziury w pokładowej desce.

– Nigdy nie kochało się ani łatwiej, ani trudniej niż w dzisiejszych czasach – odparł kot zirytowany uporczywym powtarzaniem tej samej czynności, jako, że nie przynosiła upragnionego skutku. – Pani pewnie o tym nie wie, bo ludzie zwykle o tym nie wiedzą, ale i zagubiony człowiek będzie chodzić w kółko, jeśli nie ma punktu odniesienia.

Suhel uśmiechnął się, a Argus spojrzał na Diotymę, by upewnić się, czy ta usłyszała koci komentarz. Kobieta jednak niewzruszenie sączyła koniak z maleńkiego kryształowego kieliszka.

– Dziwna sprawa z tą miłością, rzucił nagle Suhel z filozoficzną powagą. Zatracamy się dla niej, gubimy dla niej drogę, gubimy samych siebie, a mimo to, nawet gdybyśmy byli z kamienia albo ze stali, żyć się bez niej nie da. Choć nas dusi, jest wiatrem w nasze żagle, choć nas gubi, jest naszym kompasem, umieramy w jej imię, jest naszym okrętem.

– A pan, panie Argusie, czy pan pisze o miłości?

Argus spojrzał na Diotymę lekko zawstydzony. Rozumiał, że to ten moment kiedy prosi się go o to, by coś wyrecytował.

– Napisałem tylko raz o miłości, powiedział, po czym spojrzał w morze i zatonął w myślach.

– Miłość to złudzenie, odrzekła Diotyma i to nagłe wyznanie sprawiło, że pasażerowie zamilkli.

– Cokolwiek człowiek zwykł nazywać miłością, jest tak naprawdę formą pożądania. Miłość to nic innego jak pragnienie, żądza dzielenia świata z kimś, w kim dostrzegliśmy Piękno. Ludzka żądza wzmocniona boskim pierwiastkiem. Kiedy kochamy drugiego człowieka, to w istocie znaczy tylko tyle, że dostrzegliśmy w tym kimś Piękno, które ma niezwykłą moc pobudzania naszych umysłów i dusz, to Piękno kieruje naszą uwagę w stronę tego, co duchowe. Kochamy to “coś”, i to “coś” nas w drugim człowieku pociąga, intryguje, oszałamia, czasem zachwyca, czasem rozczula, często obezwładnia. Sprawia, że zaczynamy tego człowieka pożądać. Wszystkie te emocje nie byłyby jednak nic warte, gdybyśmy nie dodali brakującego składnika: oddania. Oddanie wynika z potrzeby bycia z tym człowiekiem, patrzenia na świat wspólnie z kimś. O to się właśnie w miłości rozchodzi. Świat wydaje się zwyczajnie lepszy, kiedy dzielimy go z ukochanym. Gdy tego raz doświadczymy, nie ma już ratunku, już zawsze będziemy odczuwać to przyniatające pragnienie wspólnego doświadczania. Gdy ukochany odchodzi, opuszcza nas lub umiera, zmuszeni jesteśmy ponownie spojrzeć na świat jedynie przez pryzmat nas samych i to uczucie utraconej pary oczu, drugiego serca, czyichś dłoni, innego ciała zespolonego z naszym, rodzi w nas pustkę, z którą niejedni nie potrafi sobie poradzić.

Mussa zaczął lizać lewą łapę, uderzając nerwowo ogonem w pokład.

– Czy pan, panie kapitanie, kochał kiedyś, tak mocno i tak obezwładniająco, że dla tej kobiety porzuciłby pan nawet morze? – spytała Diotyma.

– Kochałem. Nadal kocham, pewnie już zawsze będę kochać, choć na moje szczęście morza nigdy porzucić dla niej nie musiałem. Miłość żeglarza rządzi się swoimi prawami. Każdy żeglarz powie pani, że jego największą, a czasem wręcz jedyną miłością jest morze. Choć jest to miłość trudna, to jest



bezwarunkowa. To miłość, która jest najcenniejszą z miłości: to wolność w czystej formie. Nie poświęca się morza dla nikogo, tak jak nie poświęca się dla nikogo wolności.

– Czy dobrze rozumiem, że wybiera pan taflę wody ponad kobietę?

Mussa nie wytrzymał.

– Wszystko jest kwestią perspektywy – zaczął. Pszczoła żyje mniej niż czterdzieści dni, w ciągu swojego życia odwiedza co najmniej tysiąc kwiatów i produkuje łyżeczkę miodu. Dla was, ludzi, to tylko łyżeczka miodu, ale dla pszczoły to całe jej życie. Dla pani morze to tylko woda, fale, ryby i wodorosty, słońce błyszczące w wodnej tafli. W chwilach romantycznego uniesienia morze to dla pani lustro nocnego nieba i księżyc odbijający się w nim swą białą poświatą. Dla kapitana – to całe jego życie.

– Zemdląca?! Zemdląca. Przynieście szklanekę wody – krzyknął Argus. – Biedna kobieta, wyszeptał.

– Śmieszna kobieta, mruknął kot i niewzruszony ułożył się do snu.



W dzień po tym, jak Diotyma zasłabła podczas kolacji, tak na statku, jak i na morzu, zapanowała niemal całkowita cisza. Z powodu flauty już o poranku okręt stanął w miejscu, jakby morze chwyciło go w wielkie czarne imadło i unieruchomiło na zawsze. Gorące powietrze opadało ku wodzie, ustępując miejsca unoszącej się nad taflą parnej wilgoci. Oprócz mew i ogona Mussy nie poruszało się nic – martwa natura z okrętem i kotem. Pani Benakis nie wyszła od rana z kajuty. W hundkoi kapitan notował coś skrzącnie w okrętowym dzienniku, a Argus stał na pokładzie i mamrotał do siebie słowa, które jednak nie łączyły się w żadną sensowną całość, przypominając swobodny strumień świadomości wariata. Widząc to Mussa przeszedł powoli i z gracją po drewnianej poręczy, a kiedy zbliżył się do profesora, przysiadł, podniósł głowę i rzucił spojrzenie na tłoczące się nad masztem ptactwo. Argus to mrużył, to znów otwierał oczy szeroko, kiwał się wychylając niebezpiecznie za burtę, to znów siadał albo zaczynał spacerować w kółko, co i rusz kręcił przecząco głową, śmiał się, skubał brwi, drapał po brodzie i cały czas szeptał do siebie niezrozumiałe frazy w twórczym transie, jakby rzucał magiczne zaklęcia. – Uważaj, co tam mruyczysz, słowa mają magiczną moc. Używaj ich rozważnie – powiedział kot patrząc na poetę, ten jednak nie zareagował. – Gorąco. Nic się nie dzieje – dodał dramatycznie. Jak tak dłużej będzie, zapuścimy tu korzenie, ptaki zagnieżdżą się na masztach, natura zagarnie nas wszystkich, umrzemy tu z głodu albo co gorsza z nudów, zarośniemy trawą i staniemy się wyspą, o której istnieniu nikt nawet nie wie – wymamrotał, jednak poeta wciąż nie reagował. Nagle ten wszechogarniający marazm przerwały dźwięki dochodzące z rufy. – Panie psorze! Panie psorze! Do Argusa podbiegł jeden z kapitańskich pomocników – Nabiliśmy panu fajeczkę, tak jak pan prosił! Miłej inspiracji, niech panu wyjdzie na zdrowie, tylko powoli i z umiarem! Chłopak wyszczerzył biały uśmiech przełamany czarną szczerbą w miejscu jedynki.

Fajka pachniała świeżym tytoniem zmieszany z podgrzanym haszyszem. Argus ocknął się, zapalił i wrócił do poetyckiego mamrotu.

Na rufie, otoczony gromadką zasłuchanych żeglarzy, siedział Egipcjanin o czarnych oczach i młodzieńczej twarzy, wciąż jeszcze zupełnie pozbawionej zarostu. Śpiewał głosem czystym, wdzięcznym, niemal dziewczęcym. Stara, wysłużona mandolina wydawała z siebie delikatne dźwięki, unoszące się cichym echem w eter.

*Można też po prostu być,
ziemią dzielić się z źdźbłem trawy,
karmić ptaki, tulić drzewa,
z wartkich źródeł wodę pić.*

*Na kamieniu można spać,
łazić sobie gdzie popadnie,
zdawać się na łaskę losu,
wcale nie chcesz się "kims" stać.*

*Można szczerze z życia drwić,
tylko kochać, iść i śnić,
można być po prostu sobą
i po prostu sobie... być.*

Kiedy Argus usiadł, dołączając do grona słuchających, Mussa wskoczył mu na kolana.

– Wiesz kocie... Od rana... ba! od urodzenia chyba... szukam słów i choć właściwych znaleźć nie potrafię, po prostu sobie jestem. Po czym głaszcząc Mussę po głowie dodał: siedzę albo leżę, przemieszczam się, albo stoję w miejscu. Czasem przystaję na dłużej i ten postój, choć z pozoru wydaje się tylko przystankiem, staje się na jakiś czas przystanią. Czasem w życiu zatrzymywałem się nie wiedząc, dokąd zmierzam. Łudziłem się, że to po to, by zorientować wewnętrzną mapę,

ale tak między Bogiem a prawdą, czy znamy w ogóle kierunek, w którym zmierzamy? Mężczyzna spojrział w wodę, która wyglądała, jakby miała się za chwilę zagotować, jakby to pożółkłe, rozognione powietrze podgrzało ją do temperatury wrzenia. – Jest coś nie do zniesienia w tym bezruchu wody i powietrza – wyszeptał do siebie samego. – Jest coś niepokojącego w tej duchocie, jakby wszystko wokół miało za chwilę umrzeć.

– Nadciąga hamsin, rzucił kapitan, pojawiwszy się znienacka. – Będzie trudno oddychać, ale może wreszcie ruszymy się z miejsca. Ten nieprzewidziany postój nikomu nie wychodzi na dobre. Załoga się nudzi, a pan Argusie, pół dnia już gada do siebie, chyba pan wypalił za dużo haszyszu, mnie mam po oczach. – Czy widzieliście panią Benakis? Martwię się o nią, doznała szoku, kiedy nasz drogi Mussa postanowił tak niespodziewanie do niej wczoraj przemówić.

– Od rana nie wyszła z kajuty, odparł kot niewzruszenie. To z resztą lepiej dla Mussy, bo ta kobieta jest irytująco pewna siebie.

– Trafił swój na swego! Powiedz mi lepiej złośliwa kreaturo, kiedy zrozumiesz, że ludzie nie są przyzwyczajeni do gadających kotów?

– A jak niby kot miałby przygotować człowieka do tego, że zamierza do niego przemówić? To jest ludzki problem, a nie koci, że się ludzie przyzwyczajają do rzeczy, a potem, jak się dzieje coś, czego się nie spodziewali i do czego nie są przyzwyczajeni, to się zachowują jakby świat stanął na głowie. A świat, jak zresztą Mussa już wielokrotnie powtarzał, nie jest wcale taki, jaki się ludziom wydaje, więc też się do niczego nie powinni przyzwyczajać, na zdrowie im wyjdzie.

– Daruj nam Mussa na chwilę te filozoficzne wywody, idę sprawdzić jak się czuje nasza przestraszona pasażerka, a panu, Argusie, polecam zakryć usta i nos chustą, wiatr niesie pył znad pustyni, wkrótce będzie się pan krztusił piachem, a nie tylko swoją “wzmocnioną” fajką.

Suhel zapukał do drzwi kajuty, z której podejrzanie długo pani Diotyma nie wyściubiła nawet nosa. Kobieta nie odpowiadała, ale drzwi uchyliły się same, zaniepokojony, zajrzał więc do środka. Spała skulona. Poprawił koc, okrywając nim delikatne, chude ramiona kobiety, po czym rozejrzał się bezwiednie, zamknął drzwi i wrócił do messy, dołączając do reszty pasażerów. Minęło zaledwie parę minut, gdy nagle powietrze pożółkło, a morze poczerwieniało, jakby bogowie zarzucili na świat gęsto tkaną pończochę. Martwa cisza stała się jeszcze bardziej duszna i nie do zniesienia, a członkowie załogi zupełnie od siebie nierozpoznawalni. Wszędzie widać było jedynie czarne oczy wylaniające się spod białych chust, którymi owinięte były głowy. Żółty pył z nad egipskiej pustyni opadał na wodę sprawiając, że nawet piana pęczniejąca pod powoli poruszającym się okrętem pożółkła i zgęstniała. Z trudem dało się dostrzec wyciągniętą przed siebie rękę, a co dopiero pełną sylwetkę stojącego nieopodal człowieka. To duszne wyobcowanie udzielało się także pasażerom, którzy siedząc w messie próbowali rozmową zabić paraliżującą nudę.

– Ludzie... – wyrzekł nagle Suhel uroczyście, jakby to słowo wynagrodzić miało niezręczną ciszę, trwającą od paru chwil przy stole. Odczekawszy jakieś pół minuty, by upewnić się, że wszyscy go wyraźnie usłyszeli i są już gotowi przyjąć zastrzyk kapitańskiej mądrości, dopowiedział: – Ludzie za bardzo starają się szukać w życiu kierunku... Nadchodzący filozoficzny saspens zniweczył jednak Mussa.

– Ludzie nie wiedzą dokąd zmierzają. To dlatego, że człowiek zawsze znajduje swoje przeznaczenie właśnie na tej drodze, którą obrał, by jakiegoś przeznaczenia uniknąć. Zamiast uporczywie szukać kierunku, ludzie powinni całe życie robić tylko jedno – uczyć się – w tym uczyć się innych ludzi, a na każdym kroku swojego uczenia się,

przekazywać innym wiedzę, którą posiadli. Logiczne zatem wydaje się kotu, że powinni dokładać wszelkich możliwych starań, by nabywać na przestrzeni życia wiedzę w istocie swej najprawdziwszą i najszlachetniejszą, by nie karmić się kłamstwami i bzdurami, nie obcować z głupotą. To jest obowiązek moralny ludzi, skoro uważają się za najlepiej rozwinięty z gatunków. Problem jest tylko taki, że kot zaczyna wątpić, czy ludzie rozwijają się w interesującym dla kota kierunku. Mussa odnosi wrażenie, że on sam wyewoluował już do doskonałej formy i idei kota, więc po kocie już nie ma w co lepszego ewoluować. Tymczasem ludzie wciąż ewoluują, zapewne po to, by wreszcie odnaleźć swoją utraconą istotę. Kiedy dożywają starszych lat to największą radość mogą kotu sprawić tym, że już wówczas rozumieją, iż nie było sensu się tak bardzo starać, i że głęboki, istotny rozwój dokonuje się niezależnie od wszelkich człowieczych starań, w imię wyższych praw rządzących naturą niż człowieczy rozum jest w ogóle w stanie pojąć. Człowiek jest tylko odłamkiem znacznie mądrzejszego niż on sam konceptu i na miejscu człowieka, kot by się raczej skoncentrował na tej wiedzy, którą ludzie istotnie mają szansę nabyć i z większą rozwagą zaczęłby uświęcać to, co człowiek nazywa "wartościami". Robicie się nieostrożni, zamiast mądrzeć, duchowo głupiejecie, skupiacie się na materialnym blichtrze i na sprawach miałkiej wagi. Tymczasem jedyną i naprawdę istotną rzeczą, jaką człowiek może zrobić w swym krótkim życiu to nabyć jedną tylko mądrość i tą jedną się z innymi podzielić. Musi się nauczyć k o c h a ć i żyć w taki sposób, by jak największa ilość ludzi wokół niego także nauczyła się od niego kochać. Tylko wtedy człowiek może być naprawdę szczęśliwy i spełniony. To powiedziawszy, kot machnął nerwowo ogonem i nie zwracając na nikogo uwagi, zniknął za jedną ze skrzyń.

ZGUBA

Diotyma obudziła się po ciężkim, neurotycznym śnie. Ponieważ wciąż czuła się słaba, postanowiła, że pozostanie jeszcze jakiś czas w kajucie. Ciekawość jednak (i trochę też nuda) wzięły górę, dlatego zerwała się z koi, zarzuciła na siebie długi, bawełniany szal i postanowiła odnaleźć tę szkaradną istotę, która nie dość, że przemówiła do niej ludzkim głosem, to jeszcze śmiała z niej zadrwić przy tyłu świadkach (i to w dodatku mężczyznach)! Jak ten kocur mógł tak ze mnie szydzić... powtarzała w myślach, mocno poirytowana. Kiedy otworzyła drzwi kajuty, oczom jej ukazał się kapitan. Stał nieruchomo niczym potężny dąb, z ręką uniesioną jak złamana gałąź, która zawisała na wietrze, by właśnie do niej zapukać.

– Ach to pan, proszę mnie zostawić, lepiej mi już, proszę mówić natychmiast, gdzie to jest?! Gdzie jest to coś, to grube gadające diablę, to to...

– Mussa, przerwał Suhel. To “coś” ma na imię Mussa i właśnie z powodu kota ośmielał się pani przeszkadzać, otóż widzi pani Diotymo, od wczoraj nie możemy go znaleźć. Nie muszę chyba dodawać, że profesor jest niemiłosiernie zmartwiony, szukaliśmy już wszędzie, ale kot zapadł się pod ziemię. Tu kapitan Suhel odchrząknął jakby zbierając słowa, po czym wyszeptał dość nieśmiało: – Z pani reakcji wnioskuję, że go pani nie widziała? Diotyma parsknęła histerycznie.

– Czy widziałam? Oczywiście, że widziałam, co gorsza też słyszałam, całą noc mi się śnił gadający kot, dlaczego wam wszystkim wydaje się to normalne, tego nie wiem, nie chcę w to wnikać, banda wariatów i to na morzu, nie ma nawet dokąd od was uciec, wiem za to, że budziłam się co parę minut złana potem, miałam nawet wrażenie, że umieram, że on dusi mnie w nocy ogonem albo wydrapuje mi oczy pazurem. Ale to nawet nie było jeszcze najgorsze! Gorsze było to, że jak wydrapywał to... gadał! Opowiadał, co jeszcze mi zrobi,



bym umierała długą i bolesną śmiercią! Nie, przepraszam, pomyliłam się, to też nie było jeszcze najgorsze. Już zupełnie najgorsze było to, że umierałam torturowana przez... kota! I nikt by w to nie uwierzył. Tak, to zdecydowanie była myśl najbardziej przerażająca ze wszystkich. Nikt by nawet nie uwierzył! Ojciec by nawet nie wierzył, a on zawsze we wszystko mi wierzy. Diotyma wypluła z siebie najwyraźniej całą już nagromadzoną histerię, bo powiedziawszy to, znowu zasłabła i padła zapłakana w ramiona kapitana. – No dobrze już pani Diotymo, proszę nie płakać, to jest tylko kot, może nie taki zwyczajny kot, bo jednak gada ludzkim głosem, ale też nie do wszystkich się odzywa! To, że pani go słyszy i rozumie to naprawdę wielki komplement. Na Allaha, proszę usiąść, o tutaj. Opowiem pani śliczną historię. Czy słyszała pani kiedyś o Muezzie? Muezza była ukochaną kotką proroka Mahometa. W mojej religii kot jest symbolem delikatności i opiekuńczości, a tak dobrą reputację zawdzięcza między innymi tej właśnie historii. Otóż według tradycji, Mahomet miał ogromną sympatię do Muezzy, karmił ją, często ją głaskał, rozmawiał z nią, bardzo o nią dbał. Któregoś dnia, podczas modlitwy, kotka zasnęła na jego rękach i kiedy prorok chciał się podnieść, nakazał obciąć rękaw swojej szaty, byle tylko nie zbudzić kota. Tak wielki szacunek miał do tej delikatnej istoty, że jej spokojny sen cenniejszy był dla niego niż jego własne odzienie. Ale jeśli nie przekonuje pani ta historia, to sięgnąć możemy do jeszcze bardziej odległych czasów. Jak pani przecież doskonale wie, w Egipcie koty od zawsze uważane były za zwierzęta święte, związane z boginią Bastet, która była patronką domu, miłości i ochrony. Od tysięcy lat wierzono, że posiadanie kota przynosiło szczęście i zapewniało domostwu ochronę przed złymi duchami. Dlatego myślę, że Mussa nie ma żadnych złych zamiarów. Ba, jestem przekonany, że jest odwrotnie niż się pani wydaje: rozmawia z nami po to, by nas chronić przed złymi myślami, jakżeby mógł być złym duchem? No już, spokojnie. Panu Argusowi byłoby

na pewno bardzo miło, gdyby zechciała się pani przyłączyć do poszukiwań. Musimy kota znaleźć, bez dwóch zdań. Nikt ani nic nie ginie na moim okręcie bez mojej wiedzy!

– Może wypadł za burtę – burknęła Diotyma z przekąsem, kapitan spojrział na nią jednak tak złowrogo, że na wszelki wypadek postanowiła na tej jednej złośliwości zakończyć.

DUCH MORZA

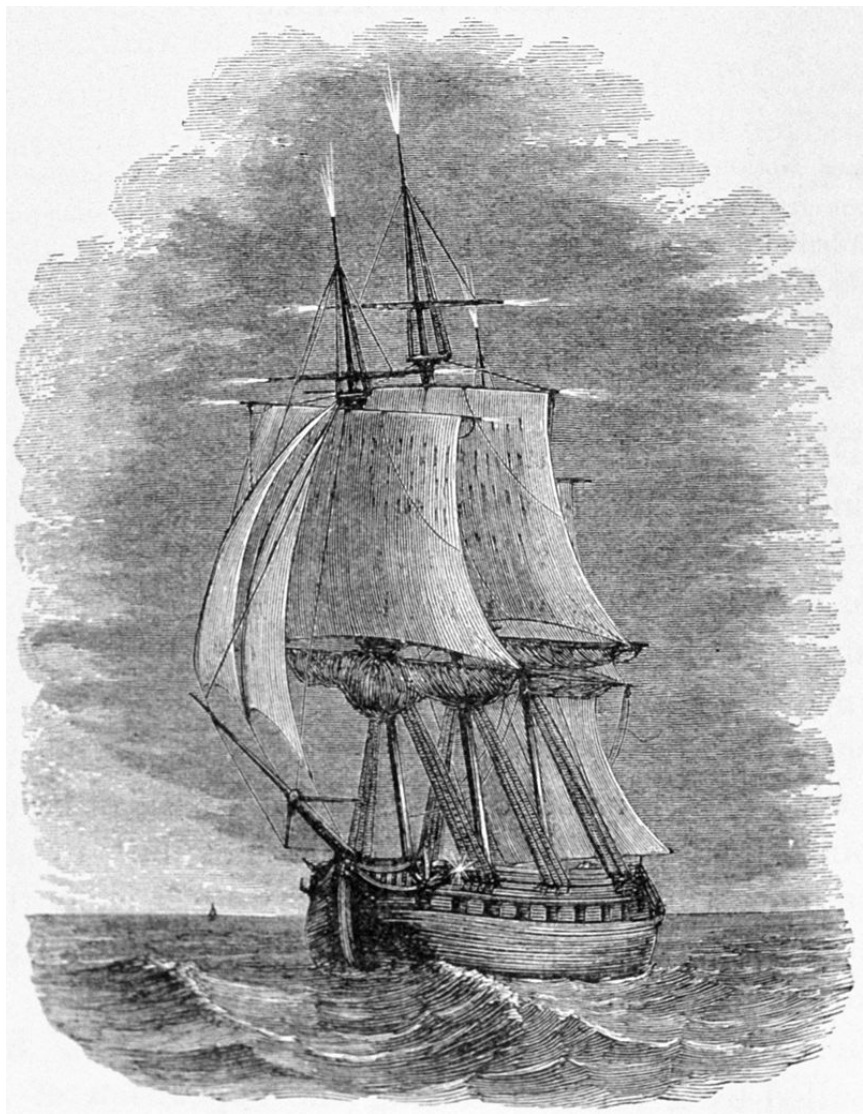
Kiedy wyszli na pokład, ich oczom ukazał się obraz mrozący krew w żyłach. Załoga biegła w panicznym amoku, chłopcy okrętowi albo padali na kolana i zaczęli wznosić lamenty ku niebu, błagając Stwórcę o przebaczenie, albo skamieniali z przerażenia patrzyli w morze i krzyczeli: “zguba”, “Dzień Sądu”, “wszyscy umrzemy”, “biada nam, módlcie się”, “Allahu Akbar”. Na powierzchni lin i na szczytach masztów, w rozgrzanym do czerwoności od trwającego wciąż ham-sinu i zachodzącego słońca powietrzu, błyskały elektryczne iskry.

– Panie kapitanie! Ognie świętego Elma! Nadciąga sztorm albo tajfun! – krzyknął jeden z marynarzy. Wszędzie słychać było świsty i gwizdy jak nie z tego świata, a złowrogie wyładowania elektryczne pojawiały się nawet na złożonych do modlitw rękach żeglarzy. Morze wokół okrętu przemieniać się zaczęło w gęstą ognistą lawę. Statek ugrzązł w niej nagle, unieruchomiony jakąś siłą pozaziemską, powietrze zaogniło się jeszcze bardziej, mimo, że słońca nie było już widać, a w morską toń uderzać zaczęły pioruny. Kapitan jako jedyny patrzył na to wszystko z dość jeszcze kontrolowanym spokojem, łapiąc oszołomionych majtków i wpychając ich bez ceregieli do wnętrza statku niczym cynowe żołnierzyki. Gdzieś widać było jeszcze przez moment przerażone czarne oczy zasłane łzami zwątpienia, ale odgłosy modlitw dochodziły echem już głównie spod podkładu. Ci, którzy zaniemogli ze strachu,

poukrywali się gdzie popadnie, pomiędzy olinowaniem, w skrzyniach i w beczkach.

Nagle w morskich odmętach pojawił się gargantuiczny lej, który zasysać zaczął tę gorącą smolistą ciecz niegdyś wodą będącą, niczym jakiś stwór piekielny, którego pokarmem są strach i zwątpienie. Z wnętrza tego bezdennego wiru wyłaniać się zaczęła postać, zjawa, duch a może bóstwo o kształtach częściowo człowieczych, ale tylko na wysokość ramion, a od piersi w dół o ciele węzowym, pokrytym seledynową łuską, mieniającą się na zmianę złotem i błękitem. Poniżej tułowia ogon jakby syreni, inkrustowany perłową masą, kończył się wystającą z morskich fal wielką rybią płetwą. Zjawa miała twarz mężczyzny, włosy czarne, długie, splątane, a w nich ości rybie, wczepione niczym białe szkieleto-grzebień. Żrenice oczu też nie były ludzkie, odbijała się w nich głębia morza, jakiej człowiekowi nigdy zobaczyć nie będzie dane. Wokół żrenic, w miejscu tęczówek, błyskały turkusem wirujące węże, które w niekończącym się cyklu pożerały własne ogony. Niespodziewanie wszystko znieruchomiło i przycichło, jakby czas stanął w miejscu. Diotyma z przerażenia wczepiła się paznokciami w kapitana, aż z ramienia popłynęła mu krew. Oszołomiony łękiem profesor trzymał się kurczowo masztu.

– Argusie! – przemówiła zjawa. Oto jestem. Ja, którego wezwałeś swym wierszem, jam Morzem Śródziemia, schronieniem dla tych, którzy nie znaleźli domu na lądzie, cmentarzem tym, którzy swój dom porzuciwszy ruszyli w drogę przez morskie odmęty. Okalam trzy części świata. Skrywam w sobie pamięć upadłych cywilizacji i mądrość antycznych ludów. Jestem drogą i bramą. Na głowie, niczym diadem z kuźni Hefajstosa, noszę starożytną Helladę. W rękach trzymam wielką Italię, włoskie winnice i oliwne gaje. Moją prawą dłoń przyozdabiają jak pierścienie tureckie meczety. Palcami lewej zrywam kwiaty Koranu. Wsiąkam w Ziemię Świętą. Jam jest ten, który daje nadzieję i ten, który ją odbiera. Przywołałeś mnie poezji zakłębieniem, oto jestem.



Ośmieliłeś się spojrzeć w oczy pierwotnej sile i potędze żywiołu, zadaj swe pytanie zatem, skoroś był tak ciekaw zagadek tego świata. Bacz jednak, by nie trwonić mego czasu, inaczej marny los wasz i waszego okrętu. Pytaj, acz szczerze, pomyśl nim zapytasz, kieruj się głosem serca i pamiętaj, że odpowiedź będzie was słono kosztować. W zamian wezmę to, co macie najcenniejszego.

– Cóżżeś na boga uczynił... Argusie... – wyszeptał kapitan, który poczuł na karku zimny i drżący oddech Diotymy.

Argus Homer stał w tej złowrogiej ciszy osłupiony, ze spuszczoną głową. Czuł, jakby jego życie właśnie dobiegło końca. A przecież tyle jeszcze było do zrobienia. Tak wielkie miał sny, tyle dróg do przebycia i ksiąg do przeczytania. Nie! To jeszcze nie mój czas! To nie jest przecież zły duch – pomyślał. Przywołany moim wierszem, nie pożąda niczyjej zguby, skoro istotnie przybył na moją prośbę, jest szansą, bym pojął to, co dla innych niepojmowalne. – Nie obawiajcie się, powiedział poeta, kierując wzrok w stronę kapitana i wtulonej w niego, struchlałej kobiety.

W owej chwili profesor Argus zrozumiał, że mógłby spytać, dokąd zmierza człowiek, powtarzając za Platonem słowa Sokratesa “Dokąd to i skąd Fajdrosie?”. Mógłby zadać pytanie o naturę ludzkiej moralności, stając się pierwszym na ziemi, który rozwikłałby dylemat starożytnych filozofów, czy człowiek dobry jest czy zły z natury. Mógłby spytać o sens życia. Czy istnieje wyższa siła pytać już nie warto, ale skąd wiemy, co jest rzeczywiste, a co nie? Argus czuł, że może zapytać o cokolwiek, o sprawy, których nigdy nie rozumiał, czego jeszcze człowiek nie pojął, albo czego on sam, Argus Homer, najgłębiej się w duszy swej obawia... Może spytać, jaka czeka go śmierć? Kiedy nadejdzie, albo co nastanie po niej? Czy będzie kiedyś wielkim poetą? Czy będzie naprawdę szczęśliwy? Czy ktoś go kiedyś pokocha? Czy ktoś

będzie o nim pamiętać? A jeśli tak, to jak długo? Czy kiedy już go nie będzie, będą o nim dobrze mówić? – oj nie, to bardzo niemądre pytania, przecież wcale nie chciałby znać na nie odpowiedzi... – pomyślał i lekko się zawstydził, spojrzawszy na żagle, w które przecież musi dmuchać wiatr, by okręt mógł sunąć do przodu.

– Kieruj się sercem – powtórzył Duch Morza – zadaj swoje pytanie!

– Zlituj się Argusie, krzyknęła Diotyma, pytaj póki on cierpliwym!

Tak Drogi Czytelniku. Argus Homer mógł zapytać o przeszłość, w pamięci ludzkiej dawno utraconą, by dowiedzieć się “skąd”. Mógł zapytać o przyszłość i przeznaczenie, by zrozumieć po co i “dokąd”. Jednak Argus Homer przypomniał sobie drzewo jakarandy rosnące tuż za jego oknem w aleksandryjskim porcie. Pomyślał o ptaku, przyniesionym przez Mussę w podarunku i o tych wszystkich wierszach, które napisał, kiedy kot leżał w jego gabinecie na rozrzuconych papierach. Wybrał “tu i teraz” i zadał jedyne pytanie, na które naprawdę pragnął poznać odpowiedź.

– Gdzie jest Mussa? – wyszeptał.

Uśmiechnął się Duch Morza.

– Kot zwany Mussą utknął w skrzyni w ładowni waszego okrętu. Spieszcie się, jeśli chcecie go jeszcze zobaczyć żywego, osłabł z głodu i pragnienia, nie zostało mu wiele czasu. Powiedziawszy to zniknął. Morze ucichło. Wiatr zadał delikatnie w żagle, a tafla wody zamigotała milionem gwiazd niepoznanego bezkresu nieba.

– Żyjesz kocie? Spytał kapitan cucąc nieprzytomne zwierzę.

– Żyje! Krzyknął Argus.

– Żyje, potwierdziła z ulgą Diotyma.

– Żyje, miałknął kot.

Nikt go jednak nie zrozumiał.

I wtedy pojęli wszyscy.

K O N I E C